

Od autora: Czy kochać to zawsze znaczy to samo? Co dzieje się z miłością, kiedy... Tego dowiecie się czytając moją najnowszą miniaturę. Serdecznie zapraszam do lektury i wymiany refleksji :)

Miał się wyjątkowo dobrze – zawsze był lepszy, pozostawiając takich jak ja w tyle.

I przed laty, i potem, kiedy mogłem pokazać, co potrafię.

Zrobił to za mnie: stał się „zwycięzcą małych rzeczy”, podczas, gdy bezrozumnie spalałem się w tym, czym on bezwzględnie gardził i nie zaliczał do kanonu wartości naczelnych.

Zbiłem na niczym, na prostych trikach i cwanych, pokerowych posunięciach okazały majątek, miałem piękny, zaprojektowany przez najlepszych architektów dom nad brzegiem morza, piekielnie drogi samochód, którym jeździłem powoli po okolicy, tak, by każdy go zobaczył i poczuł to znane ukłucie w sercu.

Obwieszony złotem nedorzecznie paradowałem po ulicach udając, że nie obchodzą mnie te wszystkie zazdrosne spojrzenia ludzi jakże dalekich od mojego świata.

Jemu los pobłogosławił – są tacy ludzie.

Nie posiadał niczego poza nią – dziewczyną, o której nie mogłem zapomnieć, odkąd ją przypadkiem z nim spotkałem, niegdyś, w miejscu nieistotnym.

Przewyższył mnie bez dwóch zdań, na swój mały, prozaiczny sposób.

Choć był zwykłym nauczycielem angielskiego z marną pensją, zaszedł dalej ode mnie.

Bez wahania poszedł drogą szarego, dobrego życia, za głosem serca, czując podświadomie, że to trakt wiodący do szczęścia, którego nie kupi się za żadne pieniądze tego świata.

On miał wszystko – pojąłem to wnet – a ja?

Kim stałem się w międzyczasie, gromadząc z małym uporem krocie na kontach bankowych, których nawet nie umiałem sobie wyobrazić?

Kim, będąc wciąż nikim – pustym manekinem, co pusty śmiech wywołuje?

Kim byłem w porównaniu z nim, mającym w życiu to, co najważniejsze – miłość?

Wystarczyła jedna, mała chwila, kilka minut, magicznych i nienazwanych, które bezpowrotnie zmieniają całe dotychczasowe życie, wywracając je na lewą stronę.

Kiedy spojrzałem w jej prześliczne, brązowe oczy, pełne radosnej głębi, wtedy, tak przypadkiem i bez zastanowienia, zrobiło mi się zimno i poczułem bolesny dreszcz, i uczucie to już nigdy mnie nie opuściło.

I cierpiałem widząc, że jego żona to anioł, zesłany mu z niebios, najpiękniejsza i najlepsza rzecz, jaka mogłaby przytrafić się mnie, lecz tak się nie stało.

Kto inny zobaczył to niezwykle światło, jakim promieniuje szczęśliwe życie.

Milena moich snów, Milena – moja jedyna miłość.

Jej oczy miałem przed sobą, gdziekolwiek byłem przez te wszystkie, stracone lata.
Płonęły w przestrzeni i parzyły mnie bezlitosną nieosiągalnością.
Była ze mną wszędzie, wszędzie, gdzie postawiłem stopę i położyłem mój kapelusz.

Moja Milena, jego żona...

Dziewczyna, co mogła dać mi niebo.
Nie dała nic.

Kiedy tylko mogłem, wymyślałem się z domu w nadziei, że spotkam tę parę i choć przez chwilę nasycę
oczy jej widokiem, bowiem kreacje wyobraźni już mi nie wystarczały.
Głodny tego, co od nich emanowało, śledziłem ich.

Spoglądałem czasem na Dana i Milenę, raz na kilka dni (może intuicja podpowiadała mi, kiedy możemy
się spotkać), jak spacerowali w miejscach, dokąd chodzą zakochani.

Wiedziałem, gdzie szukać.

Pełne świeżo wybuchłej zieloności parki i ciche, nadrzeczne bulwary należały do nich – to lato było im
przychylne jak nikomu innemu, szeptało słodyczą ich pocałunków.

W powietrzu unosił się niebiański zapach tej miłości.

Jakże bolesny i miazdzący mnie niewidzialnym, podkutym butem z kolcami.

Wdeptujący w ziemię jak nędznego robaka.

Patrzyłem beznadziejnie i nie było wokół mnie czasu – tonąłem w nim jak w bezdennym bagnie, które
połykało mnie łapczywie i zachłannie, bez końca, za dnia i nocą.

A oni płynęli lekko, niesieni uczuciem, zapatrzeni w siebie, dla świata nieobecni.

*Ukryty wśród drzew, spoglądałem w ich stronę – ja, obce ciało, tkwiące w nieznanej mi krainie namiętno-
ści i czułości.*

Ja tam nigdy nie byłem.

Nawet nie dane mi było zapukać do jej bram.

Całowałem w bezsilności jedynie klamkę.

Nieproszony gość?

To chyba najlepsze określenie, najtrafniejsze.

Jakże zapragnąłem wtedy, żeby Dan zapadł się pod ziemię, przestał istnieć, zniknął.

Jakże rozpaczliwie i gorąco myśl ta wypełniła mój umysł na kształt krwawego upiora.

Marzyłem po raz pierwszy, a w marzeniach ona nadal była panną, która nigdy nie poznała tego człowie-
ka, ja zaś kawalerem, nieposiadającym rodziny – balastu.

Nawet nie wiem, kiedy było to już we mnie – dokonało się w jednej sekundzie, tak łatwo, tak bezbole-
śnie, stało się własną substancją, nowym jestestwem.

Zaistniało i pozostało.

Zacząłem wtedy poważnie snuć obsesyjne plany, jak uderzyć w niego, jak zmieść go z powierzchni zie-
mi, raz na zawsze, bo czułem, że cierpliwość jest już na wyczerpaniu.

I stało się coś nieoczekiwanego, czego nie sposób było przewidzieć.

Pewnego deszczowego poranka, który mógł skończyć się inaczej.
Mógł, lecz sprawy przybrały inny obrót.

Kiedy się ocknąłem, ku bezgranicznemu zdziwieniu zauważyłem, że leżę w szpitalu i mam poważny problem z poruszeniem się. Odniosłem wnet przykre wrażenie, że jestem cały zeszytywniały i nienaturalnie odkształcony, co dało do myślenia, że coś musiało się stać.

- Pan został mocno uderzony w głowę jakimś tępym narzędziem – rzekł później lekarz, który pojawił się znienacka w moim pokoju, bezszelestnie jak duch.

- Nie rozumiem – odparłem.

- Ktoś chciał zrobić panu śmiertelną krzywdę. Ten ktoś nie żartował. Tego możemy być pewni. Znalezione pana w parku, nieprzytomnego i okradzionego. Zawiadomiono ambulans - dodał naprędce, spoglądając na mnie poważnie.

- Kiedy? – spytałem.

- Wczoraj rano – odpowiedział. - Pan tego zapewne nie pamięta. Tak na to należy spojrzeć. To efekt wstrząsu mózgu. Nie ma się czym martwić – nie doznał pan żadnych uszkodzeń wewnętrznych ani pęknięcia czaszki. Mogło być gorzej. Mogło, ale nie było. Z tego się cieszymy. Pamięć też niebawem wróci.

Po jakimś czasie wyszedłem ze szpitala.

Powrócił ból serca, zastygając w chwilowym uśpieniu, by na nowo zalać mnie mętą falą.

Powróciło to, co mogło pozostać tam, gdzie odchodzą prześnione, zmarnowane sny.

Znów spojrzałem na życie starymi oczami człowieka-manekina...

I natychmiast odnalazłem w nim ją.

Obsesja nie minęła.

Nie było to możliwe.

Była to ta ostatnia stacja, do której nie dojeżdżał już żaden pociąg.

Ileć razy myśli krążyły znów wokół Mileny, tyleć razy gorąco pragnąłem, by Dan nagle umarł, szybko i niezauważalnie, nie absorbując nikogo swą podło-dobrą osobą i nieistotnym odejściem – by rozpułynał się na dobre w wiekuistym trwaniu, jakby nigdy się nie narodził i mi jej nigdy nie odebrał.

Znałem ich adres, wiedziałem jak tam dotrzeć.

Dwadzieścia minut spaceru, nie śpiesząc się i nie pędząc.

Decyzja nie była obarczona wątpliwością – była owocem desperacji, co przebija serce.

Postanowiłem, że ma to wyglądać na nieszczęśliwy wypadek, który może przydarzyć się każdemu i wszędzie, w nocy lub, gdy na niebie świeci słońce.

Długo myślałem, jak to zrobić, i długo nie udawało mi się nic wymyślić.

Nagle pomysł przyszedł sam: przypomniało mi się, że pod ich domem jest studnia...

Głęboka i poprzez to gwarantująca bezgłośny upadek.

Ciche i ostateczne pożegnanie.

Wiedziałem ze starych czasów, że Dan nie umie pływać.

To mi w zupełności wystarczało.

Zapadał właśnie powoli wieczór, cicho i bezszelestnie, kiedy opuszczałem dom.

Było lato, cudownie pachniały wokół drzewa, rozsiewając w powietrzu dawno już zapomniane wonie - pięknie było na świecie.

Od morza płynął wyraźnie ożywczy powiew bryzy, niczym pocałunek kochanki ze snów.
Nie miałem w sobie żadnych oznak zdenerwowania, wolny od lęków i drżenia rąk.
Myśl ta wcale mnie nie dziwiła, nie wierciła świdrem hipotez i domysłów.
Ten czas nie był od analizowania, bo własny Rubikon przekracza się tylko raz albo nigdy.

Już wiedziałem, że podejść cichaczem pod dom Dana i narobię ostrego hałasu przy studni, i gdy zdziwiony wyjdzie zobaczyć, co się dzieje, rzucę się na niego jak dzikie zwierzę i w mgnieniu oka zepchnę do niej szybko i sprawnie tak, jakby wszystko było tylko złudzeniem.

Ona nie może tego widzieć – moja Milena.

Jej ten rodzaj prawdy do niczego niepotrzebny – nie chciałem narażać jej na to, pragnąłem potem pojawić się i zaistnieć jako ten, który ociera łzy, by któregoś dnia dostać wszystko.

Ta noc powinna przytrafić mi się już dawno temu, bardzo dawno, kiedy żyłem namiastką życia wśród tandetnej pustki, którą sam byłem, odkąd ją zobaczyłem.

Kiedy miałem już dość blisko ich domu, nagle usłyszałem za sobą szybkie, wyraźne kroki.

Ktoś ponad wszelką wątpliwość szedł za mną.

Mimowolnie drgnąłem, choć sam nie wiedziałem, czemu.

Odwrociłem się.

To był on.

Krew boleśnie zagrała w skroniach, a zimny dreszcz przebiegł po grzbiecie.

Przystanąłem bezwiednie i patrzyłem nieruchomym wzrokiem, jak się do mnie zbliżał.

Na jego twarzy dostrzegłem przelotny uśmiech.

Poznał mnie, i gdy był już koło mnie, rzekł spokojnie:

- Co za spotkanie? Chodzisz tak po nocy? Nie boisz się?

W jego oku spostrzegłem dziwny, dwuznaczny błysk.

- A czegoś miałbym się bać, Dan? – spytałem, próbując zachować zimną krew.

Czułem, że lekko drżą mi ręce, a w gardle niemile zasycha.

- Naprawdę nie wiesz, o czym mówię?

- Nie.

- O tamtym wypadku, wtedy, w parku – rzekł poważnym głosem, spoglądając na mnie jak saper, który usiłuje rozbroić wciąż niebezpieczną minę.

- To ty o tym wiesz?

- Byłem tam. Nazwijmy to zwykłym zbiegiem okoliczności.

- To ty mnie...

- Ja cię znalazłem, Mike, w ostatniej chwili. Akurat szedłem tamtędy, akurat tak się właśnie złożyło. Tamtego dnia, o tamtej porze. Wtedy zauważyłem to. Natychmiast zrozumiałem, że jest źle, bardzo źle. On mógł cię zabić, rozwalić ci z łatwością czaszkę na miazgę. Nie byłoby, co zbierać. Jeszcze kilka minut i byłoby po wszystkim. Miał nad tobą przewagę. Musiał cię zaskoczyć. Jak mnie zobaczył, uciekł.

Poczułem, jakby wszystkie pioruny świata uderzyły mnie z głuchym trzaskiem w potylicę.

Zawirowało paskudnie i zakłuło w skroniach.

Podszedłem do najbliższego parkanu, i czując, że słabnę, chwyciłem się go oburącz.

Z trudem łapałem oddech – w oczach postać Dana niemile falowała.

- A więc wszyscy wiedzieli poza mną...
- Czasem tak lepiej, Mike, czasem tak łatwiej. Woląłem załatwić to w ten sposób. Sam wiesz – nigdy nie byliśmy blisko, ot, znajomi ze starych czasów. Nie chciałem inaczej. Usunąłem się. Tego właśnie potrzebowałem. To wszystko.

Mój głos umarł na chwilę – nie potrafiłem się do niego odezwać.

Spojrzałem w te spokojne, dobre oczy.

Na przeciętne, znoszone ubranie i ścisnąłem rękoma obolałe, pulsujące skronie.

Przez chwilę byłem w piekle, czarnym, wilgotnym, pełnym bólu i zgrzytania zębów.

Poczułem zapach ciemności, pocałowała mnie lodowatymi, martwymi ustami.

Wróciłem jednak, wróciłem na dobre.

Wtedy z trudem, którego nie opiszą żadne słowa, cicho wyszeptałem:

- *Przepraszam.*

- Za co? Coś ty? Każdy na moim miejscu zrobiłby to samo.

- Nie za to...

- Nie mów tak.

- Dan...

- Co?

- Życie to najpiękniejsza rzecz.

- Wiem. Zawsze tak myślałem.

- Miałeś rację...

- To skarb, Mike, nie ma większego. Trzeba się go mocno trzymać.

- Tak. Najmocniej jak to możliwe. Za wszelką cenę.

- Szczęście jest jak rozgrzana strzelba – trzeba z niej strzelać jak najczęściej i nie pozwolić, by ostygła.

- Dobrze to ująłeś. Lepiej nie można.

- I wiesz, co? Nie warto żyć na niby, to się zawsze źle kończy, trzeba to robić na poważnie. Odnaleźć swój własny, najlepszy sposób. Wtedy powiesz, że zrozumiałeś sens tego wszystkiego. Wejdiesz na chwilę? Milena zaparzy herbatę.

- Nie.

- Szkoda. Zawsze możesz nas odwiedzić, kiedy będziesz chciał.

- Dziękuję ci. Już pójde. Pozdrów ją ode mnie. Albo może w ogóle nie mów, że mnie dziś spotkałeś.

Jego oczy iskrzyły się tą samą dobrocią, którą ona musiała tak kochać.

Choć nie wiedział, o czym mówiłem, zachował się jak mężczyzna – po raz kolejny.

Zawsze nim był, tylko ja nie chciałem tego widzieć i uparcie broniłem się, by przyjąć to do wiadomości.

Wtedy, w tę przedziwną godzinę, gdy morze rozkosznie nuciło spokojną melodię, na wieczornej, letniej ulicy pojąłem, że dla mnie pozostanie nim już na zawsze.

- Dobranoc, Dan – rzekłem drżącym głosem i odwróciłem się, by ruszyć do domu.

- Dobranoc, Mike. Pamiętaj, że nigdy nie mówi się „*nigdy*”.

- Dobrze. Zapamiętam coś jeszcze... - powiedziałem cicho, lecz pewnie.

- Co takiego? – spytał.

- Że zawsze pojawiaasz się, kiedy trzeba.

Uśmiechnął się, i poklepawszy mnie po ramieniu, poszedł do domu.

Stałem tam jeszcze przez chwilę, patrząc w wibrującą czeluść kojącego mroku.

Była już prawie noc, ciepła, pachnąca tysiącem zapachów, opiekuńcza.

Inna...

Na niebie zapalały się powoli błyszczące, przyjazne gwiazdy, spoglądając na mnie, kiedy nie śpiesząc się, wracałem do siebie.

Do siebie...

6 listopada 2015

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 11.11.2015 14:25

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.